Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 25. Poznań dnia 17. Września. **1838.**

Literatura zagraniczna.

Odpowiedź na artykuł z literatury zagranicznéj w nr. 21. Tygodnika.

Recenzya o Maryacie i innych autorach romansów morskich powodem mi jest do sprostowania niektórych zdań w niéj wynurzonych. Za zbytnią śmiałość poczytaćby można, pod sąd własny podciągać płody zagranicznéj literatury — atoli w naszym rodzimym duchu każdy obraz inaczéj się odbije, jak na cudzéj ziemi; wyobraźnia nasza inaczéj go przekształci, przetworzy po swojemu. Jakżeż to rozmaite wzbudzał spółczucie wielki wieszcz czasów restauracyi, W. Scott. Co dla spokojnéj i zimnéj ciekawości jednych zabawką było, to dla namiętnego uczucia drugich stawało się nowym zapałem, bodźcem dzielności, źródłem natchnienia; owa fantasmagorya wywołująca wszystkie cienie przeszłości, wzbudzała w głębi serc wszelkie narodowe wspomnienia. Może też W. Scott miał jeszcze niewykrytą zasługę, że rozwinął te szlachetne sympatye do niezgasłych pamiątek, jakie się tak silnie w nowéj romantycznéj szkole ozwały, a żywym udziałem w wojnie Greckiéj sprawdziły i ziściły. Gdy tak W. Scott swój naród, acz wiecznie z angielskim złączony, udzielnie uświetnić i uczcić umiał, stawając go w równi z sąsiednimi zdobywcami jego, tyle na tle historycznem dokazał, ile w inny sposób na tle politycznem Okonell z własnym zdziałał ludem.

W ówczas uczuł inny naród pobratymczy odszczepieniec W. Brytanii potrzebę uzyskania należnego miejsca w sympatyach europejskich, i Ameryka północna zlała na Coopera święty obowiązek przedstawienia jéj w oczach świata w nadobnéj szacie poezyi. Mistrz pojął, że ten kraj bez pamiątek i naród bez przodków nie zdoła ująć Europy, o całe średnie wieki i starożytność opartéj; chcąc jednak uskarbić jéj serce, przeniósł poezyą wojen Ameryki, z lądu na morze; gdyż tu jednodzienna walka stawała za długie lądowe wyprawy, tu chwilowe męztwo, śmiałość, poświęcenie świetnym blaskiem okryją bohaterów: tu jeszcze i zaród przyszłości jego narodu, i tajemnica jego istnienia. Cooper więc powodowany prawem uczuciem przywiązania do swoich, i trafnym taktem uczczenia ich sławy — stworzył romans morski. — Sternik, czerwony rozbojnik (Red-Rover.) do najcelniejszych jego romansów należą; wywołały one spólnie z jego Switezianką (Water-Wilch) mnogich naśladowców tego rodzaju. Pominąwszy pisarza trzeciego rzędu, do których Korbiera dołączę, zwróćmy uwagę na obu najcelniejszych Maryata i E. Sue. Powieści Coopera za wzór przez nich wziętego, celują równie poetycznością pomysłu, jak i naturalnością w wykonaniu i na tém się ich wyższość zasadza. P. Sue umiał się tylko poetycznością natchnąć i nią wygórował, przeciwnie zaś Maryat niema innéj zalety nad swoję wesołą i szczerą naturalność. Wszystkie romanse Eugeniusza Sue są ozdobnemi poematami i grzeszą przesadą, błądzą zbytnim natłokiem, więcéj jeszcze manierowaniem w kreśleniu odrębnych, udzielnych charakterów — ale są to poemata: łatwo wszędzie w najdrobniejszéj nawet epizodzie rozpoznasz wieszcza, *ex ungue leonem.*

Charaktery jego, choć nie znajdą się nigdy w naturze, nie są atoli dla tego mniéj wielkie. Wszakże żaden Hamlet dotąd się nie urodził, ani też Grecy, Rzymianie, Hiszpanie Kornela, Rasyna, Szyllera, nigdy w rzeczywistym nie istnieli świecie, a jednak podziwiać ich nieprzestaniem. Takto i w Salamandrze, najwytworniejszym romansie p. Sue, jakżeż to dziwne i wielkie pomysły Szaffiego, Piotra, i jego ojca; w wieżycy Kool-Wenskiéj, Margrabiego i księdza, i owéj namiętnéj Rykki w pomniejszych nawet dziełach, n. p. w Plik i Ploku, Kukuraczy, zewsząd nowe i niesłychane ujrzym pomysły. Nie za dnia pogodnego pojął je szczytny poeta, ale wzrosły one w jego duszy wśród burzy lub nocnych ciemności: częściéj demony niż ludzie po ziemi cho-

dzący, duszę bajronoską klątwą ujęły, a jednak tak odpowiednie ślachetnym spółczuciom. Suego dziwne obrazy wylewają się z namiętnéj jego duszy; jako lawa w żarze stopiona; a nad straszliwą pożogą, nad wszystkiem krwi rozlewem, nad wszelką prywatą i niecną chucią, unosi się jeden duch, jedno uczucie bez granic, Francyi, jéj sławy i honoru jéj flagi. W tem jeszcze celu wypracował pan Sue historyą morską francuzką, i chlubne wspomnienie należy chwalebnym jego usiłowaniom do wydźwignienia w oczach narodu tego stanu zbyt lekceważonego od gminu, a niegdyś nawet i od Napoleona. Jako płody sztuki niechcę oceniać Suego romansów, ani wytykać w czem jego bohatyrowie sprzecznymi są z naturą, ani wskazywać, ile z czasem zyskując na podobieństwie do prawdy, traci on na treściwéj poezyi; ni zmierzyć ów przedział między poetyczną jędrnością dzikiéj Salamandry, a wierniejszemi obrazy rozprzężonéj powieści o wieży koatweńskiéj; ubolewajmy raczéj, że pośpiech, z jakim piszą autorowie francuzcy, powodem się staje zwykłego zaniedbywania, z którym późniejsze swe dzieła wykonywają: zdaje im się albowiem, że byle pierwsze natchnienia całym wdziękiem urody i sztuki stroyne, przyjętemi zostały, tak już i inne zasłużą sobie koniecznie na łaskę publiczności. Ktożby mógł n. p. porównać Cesar Birotteau, ostatnie dzieło Balzaca, z jego natchnioną Peau de Chagrin; albo Drogę poprzeczną (Chemin de traverse) Janina z jego cudownym Barnawem, którym zaraz na najwyższym stanął szczeblu, aby teraz pełzać tak nizko; a cóżby dopiero o równie grzeszném mnóstwie naśladowców powiedzieć, w co się to piękne talenta jak n. p. A. Barbiera, i t. d. obróciły?

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Zgon entuzyasty.

Więc już w nieznane, niezgłębione morza,
Zapadasz, gwiazdo mego przeznaczenia!
I ty do mego przybliżasz się łoża,
Snie nieprzespany — cieby — bez marzenia!

Nim pamięć moja, moje czucie skona,
Wstrzymaj się jeszcze — o! wstrzymaj się jeszcze;
Niech me pamiątki przywolam do łona,
I raz ostatni z niemi się popieszczę.

O ludzie — ludzie! wy ziemskie pisklęta,
Wamby edenu synowie zajrzeli;
I duchy niebios i duchów książęta,
A wy płaczecie . . . boście znikczemnieli.

Od przyjścia na świat do grobowéj deski,
Strzeże człowieka, czułość, miłość, cnota;
Karmi go zapał i ogień niebieski,
Pociesza wiara i nadzieja złota.

Przecież z czułości objęć się wyrywa;
W ręce miłości z zimném sercem bieży;
Wiarę, nadzieję złudzeniem nazywa,
Tylko półczuje — półkocha — półwierzy.

A tam i zapał nie wiele pomoże,
Gdzie zmysły naprzód przeczuwają bóle;
Próżne są chęci, nie zerwie ten róże,
Kogo jéj ciernie już zdaleka kole.

Lecz zkąd te skargi i niewczesne żale . . .
Gdy życie gaśnie i pamięć ucieka;
O! myśli raczéj w młodzieńczym zapale,
Przedstaw mi obraz prawego człowieka.

Od przyjścia na świat do grobowéj deski,
Strzeże go czułość i miłość i cnota;
Karmi go zapał i ogień niebieski,
Pociesza wiara i nadzieja złota.

We śnie na kwiatach, pod skrzydły anioła,
Nasze dziecinne upływają lata;
Aż geniusz życia budzi nas i woła:
»Wstań synu ziemi! baw się wdziękiem świata!«

Piękne to cacko, ten świat niezmierzony!
Jasnych słońc milion pływa po błękicie;
A każde liczy cudów miliony,
A poznać trawkę nie wystarcza życie.

I silny młodzian wstaje ze snu łona,
Zapał w nim budzi słodkie niepokoje;
Chciałby świat cały objąć w swe ramiona,
I z chlubą dziecka zawołać: to moje!

Stój zapaleńcze! na co ci po niebie
Szukać rozkoszy — szczęścia i uroku;
Masz je zupełne, masz je koło siebie,
Na ziemi — blizko — u kochanki w oku!

Kobieto! ciebie między ziemskie twory
Sam Bóg w natchnienia zawołał godzinie;
Z twych cnót dopiero dał tęczy kolory,
Bo też przy tobie mgła cierpienia ginie.

Jest przez tę ziemię gościniec do nieba,
A takim wiedzie entuzyazm właśnie;
Jak ognia Westy pilnować go trzeba,
Bo biada temu, w kim ten ogień zgaśnie.

Ach! jeśli świat ten powaby wszystkiemi,
Nigdy nie wzruszył twojéj piersi z lodu;
Gdyś taką tylko rozkosz czuł na ziemi,
Jaką czujemy w złym pokarmie z głodu . . . .

Człowieku! umrzesz nieuczczon żałobą,
Twe życie przemknie, jako cień po grobie;
I żadnych wspomnień nie zabierzesz z sobą,
I nie zostawisz najmniejszych po sobie.

Dzięki ci Boże! jam pielgrzymkę moję,
W świętym zapale przemierzył do końca;
Z wiarą, nadzieją umrzeć się nie boję,
Jednak ze łzami żegnam widok słońca.

Płacz serce moje! płacz łzami rzewnemi!
Bo choć jest wzniosła wieczności budowa;
Nie mogę wyrzec z uśmiechem téj ziemi:
»Kraino marzeń — miłości — bądź zdrowa!« *J. N. J.*
Kraków, d. 5. Września 1838.

Życie po śmierci.

Powieść pijaka.

Czy umierał z was który? wiecie wy, jakto przykro umierać? Oh! okropnie! okropnie! Ten, kto za życia umiał myśleć, a nie potrafił wierzyć, o jakże boleśnie umiera, jak boleśnie patrzy na świat oczyma, które ostatni raz posługują jego duszy, jak smutnie myśli ta głowa, która wkrótce pusta i bezduszna, jak arfa bez stron, będzie gniazdem robactwa. Ona, która koronowała to wielkie dzieło, zwane człowiekiem, ten cud przyrodzenia, który okazawszy, do jakiéj dojść może doskonałości, ginie potém na wieki z tego świata. Piękna to była, na ów wiek, myśl, z którą usypiali Stoicy (*St. Augustinus. De civitate Dei. Lib. XII. Cap. XIII.*) ostatniem spojrzeniem mówiąc jeszcze ukochanemu światu — Do zobaczenia z tobą! — Bo ludzie, ludzie i w ówczas, potrzebowali nieśmiertelności; w ich sercach ta żądza wmurowana jest na wieki — i ten nawet, co sobie życie odbiera, myśli jeszcze o życiu swego imienia na świecie, a duszy, gdzież — może w niebie. Stoicy marzyli, że lata kręcąc się w koło, przyjdą znowu do tego miejsca, na którém wprzód stały; że oni znów się jak wprzody urodzą, będą żyć jak wprzody w tych samych ciałach, w tym samym kraju; z temiż, co wprzody osobami. To się nazywało u nich wielkim peryodycznym rokiem. Lecz jakże smutne było takie przekonanie!! Nieszczęśliwy, płakać musiał stokrotnie umierając, że był nim, i że nim jeszcze będzie tyle razy! — Teraz z wiarą niebieską Chrystusa, otworzyły się dla wszystkich wrota nieśmiertelności — lecz iluż jest niedowiarków, którzy inną roją nieśmiertelność, lub nawet żadnéj!! Posłuchajcie, co mi się raz śniło na jawie, kiedym się upił na stypie. — Czułem, że umieram. Przykro, boleśnie, umierać było, kiedy na świecie zostawał drugi koniec ogniwa, którym wiązaliśmy się ze światem; druga osoba, rzeczy i zamiary i szczęście wpół tylko dokonane, tylko zaczęte. A tu śmierć szła, i od świata, od szczęścia rzucała mnie w dół głęboko. Lecz wy niewiecie, co to jest tam w grobie, was pewno nigdy niechowano, wyście nie umierali.

Zdawało mi się, żem był chory, chory mocno, między życiem a śmiercią. Zawieszony na włosku, czekałem, zkąd wiatr wionie i czy mnie nazad do świata, czy tam daleko w nieznane kraje wyrzuci.

Nagle, zdawało mi się, żem wpadł w katalepsią, bo ciało moje zupełnie pozór życia straciło. Wyobraźcie sobie zegarek, którego koła przestały poruszać skazówką, — koła idą — zegar stanął. Tak i ze mną w ówczas się działo; dusza moja żyła w ciele, ale ciało niesłuchało jéj rozkazów i wszyscy osądzili mnie umarłym. Ja leżałem z otwartemi oczyma, niemogąc niemi poruszyć, z rękoma, a bez władzy, bez ruchu, bez oddechu; — żadne ludzkie sposoby, ani życia we mnie dojrzeć, ani go wskrzesić nie mogły. Koło mego łóżka widziałem stojącą żonę z — suchemi oczyma, z założonemi rękoma. Ach! jéj niedokończone szczęście szło ze mną do grobu — żałowała szczęścia — swojego. A mnie?? niewiem!! — Doktor powiedział, żem umarł i sam swoją ręką, wdział otwarte moje powieki na oczy — odemknąć ich już nie mogłem!

Potem słyszałem, jak w koło mnie odzywały się jakieś szepty — był to pacierz za moję duszę. Potém wszystko ucichło i ja, którego tak pielęgnowano w słabości — teraz kilka godzin porzucony, sam jeden leżałem. Zapomniano o mnie! serce mi z bolu pękało — ale nie pękło. Słyszałem głosy różne koło siebie, — śmiechy, śpiewy i obojętne żarty. Nie miałżem boleć nad sobą? Jeszczem nie zgnił, a już mnie zapomniano, już nie byłem sobą.

Ubrano mnie tak, jak do grobu — pożałowali sukni. Dali najstarszą i a ci, którzy ją na mnie wciągali, niewiedząc o tém sami zapewne, nielitościwie mnie dręczyli. Przyszła żona moja, i czułem, jak z mego palca zdejmowała ślubny pierścionek, bo ja nie byłem już jéj mężem, wolno jéj było po ostatnich umarłego uściskach, rzucić się na łono innego: pierścień i przysięga nie sięgają za groby, wiara kończy się z życiem — miłość? — niewiem. Moja żona zdjęła swój pierścionek.

Przecież skończyły się ubierania, leżałem na tapczanie. W koło świece stały. Pamiętam je, bo jedna z nich piekła mię w głowę, druga w nogę, piekły mnie mocno, a ja czując to, ani się ruszyć, ani dać poznać, że czuję, nie mogłem. Dopiero, kiedy się przepalił stary trzewik i pończocha, kiedy ciało moje przysmalać się zaczęło, ktoś odstawił przeklętą świecę.

Księża śpiewali nademną długo, jedno i jedno, przerywając czasami — gawędką i milczeniem, czasem — chrapaniem nabożnem, czasem niezrozumiałe odśpiewując słowa jednostajnie i smutno.

Zacząłem myśleć. Cóż to były za myśli!! Czegożbym niedał, gdybym je sobie teraz mógł przy-

pomnieć! Lecz nie — nie powiedziałbym ich wam, ludziom tego świata, bo byście ich niezrozumieli. Myślałem o żonie, o świecie — o sobie, wiele i smutno! A każda myśl, jak kropla wody po dachu, płynęła po ubiegłych latach, spływała w grób i weń wsiąkała na zawsze. Wszystko się na nim kończyło.

Ciasno mi było w trumnie, poduszkę miałem z wiorów stolarskich, twardą poduszkę trupa na sen wieczny, obszytą starym atłasem i frendzlą. Wieka nad sobą nie czułem, tylko kiedy mnie brano na ramiona i wynoszono z domu, uderzyło się raz ciało moje o nie — chciałem krzyknąć — nie mogłem. I posłyszałżeby kto krzyk piersi umarłego, zabitego wiekiem w trumnie? — zamkniętego w paku, w którym płynie na świat drugi! Zgnilizna dopiero miała mi otworzyć to więzienie!

W koło mnie słychać było śpiewy — płaczu niesłyszałem; tylko ci, co mnie nieśli na ramionach, uskarzali się, żem był ciężki. Przykrępowanego potem do wozu wieźli do kościoła. Noc była zimna, koło mnie szczury, kościelni gospodarze, biegały piszcząc po wieku trumny, ogryzały obicie i drzewo. — O! jakżem im zazdrościł — one żyły, ruszały się, chodziły — ja byłem umarły! Rano, znowu usłyszałem śpiewy głośne, a z niemi organ szumny, — potem cichość, potém głos czyjsiś mocny, czysty. — Nikt nie płakał — gdzież była żona moja??

Śpiewy znowu: znowu jechałem na wozie, potém stanęliśmy; poruszono trumnę, kołysała się, a w niéj ciało moje jak kawał drzewa, — kołysała się, szła, szła, szła i stanęła nagle, kołysząc się jeszcze.

Usłyszałem huk jakby grad bił o okna, były to kamienie i piasek sypiące się na trumnę moję. Z was pewno przez ciąg najburzliwszego życia żaden podobnego uczucia niedoznał, jakie moję duszę poruszyło, kiedy mnie także wrzucili do ziemi jak kamień, i zasypali ziemią — tego, który już po niéj chodzić nie mógł i zrobili go częścią ziemi. Kazali mu wydać soki pożywne robactwu i roślinom — zginąć na wieki, rozsypać się w drobne cząstki bez imienia, podobne cząstkom zgniłego zwierza, zgniłéj rośliny — cząstki, na których nawet ręka przyrodzenia nie napisała, że kiedyś składały człowieka!

Zasypali mnie i już nic nie słyszałem, nastąpiła cichość grobowa. Na świecie nikt jéj z was niepojmie; na świecie wśród największego milczenia, szumi jeszcze powietrze, kołysząc się w przestrzeniach — tu nie było przestrzeni, nie było powietrza — nic! nic! Ciągle ta sama cichość, ta sama ciemność, ta sama twarda poduszka pod głową — okropne milczenie! Zdawało mi się, że zemną cały świat umrzeć musiał. — Jak długo to trwało, niewiem. Czemże miałem czas mierzyć, nic nie robiąc, nic nie słysząc, nic nie widząc. Dla mnie wiek i chwila, godzina i wieczność równe były. Ciemność ciągła! ciągłe milczenie!! potém uczułem straszne zimno, rozchodzące się i po całem ciele, przejmujące, ściskające. Zaczęło się od nóg, głowy i twarzy. Zdawało się, jakby wiatr mroźny chodził po kościach i dmuchał w żyły i dął w piersi i latał po głowie. A w téj chwili, na której opisanie niewystarczyłyby cienie wszystkich świata języków, w téj chwili przychodziły mi jeszcze myśli straszne, wspomnienia młodości, miłości, żony — rozkoszy. — A zimno było tak okropne, tak ściskało za serce! — Widziałem przed sobą siwego ojca i domek nasz mały i kominek, przy którym siadaliśmy z Marynią marzyć o wczorajszych cierpieniach, o jutrzéjszem szczęściu, o wieczności, — — ach, takaż to będzie wieczność? myślałem. Długo bardzo marzłem od tego zimna, potem uczułem, jakby mnóstwo mrówek chodziło po mojem ciele i boleść lekką rozciągającą się po mnie, jak gdyby kto przykrył całe ciało drucianą koszulą i wbijał ją w ciało; — uczułem potém jak suknia, w której przechodziłem lat kilkadziesiąt od kolebki, opadać ze mnie zaczęła i zmieniła się w milion robactwa. To robactwo, było dziecięciem mego ciała — pełno go było, pełzały po nagich już kościach. Część mnie samego przemieniła się w nie, cząstka mojéj duszy, poszła za każdą cząstką ciała, reszta tylko trzymała się przy kościach, sprężynach machiny, z której zdjęto zasłony i maskę. Ja nie byłem już sobą, przemieniłem się w robactwo, dusza wprzody silna i jedna, rozdrobiła się teraz na tysiąc części, rozlała się po kościach, po robakach — po pruchnie — a ja żyłem, — straszne to było życie!!

Przyszły szczury i myszy z kościółka, gryzły resztę pozostałe mego trupa, nieczułem bolu. Wyjadły mi reszty serca, mozgu, oczu, najdroższe organizmu ludzkiego klejnoty — poniosły je i poszły.

Potem wpełzły żaby mieścić się w szczelinach próżnych mego wązkiego mieszkania. Rzędem usiadły koło nóg, koło głowy, na głowie, na piersiach — napełniły wszystkie zakątki i usiadłszy skrzeczały czasem smutnie nademną, moję pieśń śmierci. Oczy ich świeciły w ciemności, jasne, błyszczące, a one same siedziały nieruchome długim rzędem z obu stron i nuciły, nuciły — zdało mi się, żem je rozumiał:

»Otoż śpisz i śpisz na wieki — a twoi cię opuścili, a ciało twoje poszło od ciebie, i świat zniknął i nadzieja i wszystko, — a serce twoje gryzą

myszy i wspomnienia, — a żona twoja skacze wesoła — a krewni twoi zrzucili żałobę, a grób twój trawą porasta, — a ty śpisz i śpisz na wieki! —«

Robaczki, którym ja dałem życie, znikły już były i przemieniły się w proch. Z całego dawnego mnie, zostały tylko kości białe, rozsypane jak paciorki, których sznurek wiążący rozerwał się w ręku pobożnéj kobiety — rozsypały się i leżały. W czaszce mojéj siedziała królowa żab i spała w mieszkaniu próżnem mego zgasłego rozumu. Potem poszły i żaby, a ja zostałem sam jeden. Przyszła ziemia, zawaliwszy do reszty wieko trumny, przyszła i ścisnęła kości moje matka ukochana! z któréj łona wyszedłem, która mnie karmiła, która, gdym już był ludziom nieużyteczny, nieodrzuciła i wzięła mnie nazad do siebie na wieki — matka prawdziwa!

A ja żyłem, żyłem ciągle — w koło mnie ziemia i kamienie, duszy mojéj ostatki kryły się po kościach, obsypanych żółtym piaskiem do koła, kamieniami i kośćmi, takich jak ja smętarnych mieszkańców.

Potem wreszcie i kości moje rozsypywać się zaczęły na proch, a biedna i biedna dusza znowu rozdrabiać się musiała, aby każdy proszek ożywić. Prochy moje zmieszały się z ziemią, rozbiegłem się na wszystkie strony. Jedne cząstki poszły w powietrze, drugie zostały w ziemi, czekając swego przeznaczenia, inne wyszły powoli nad jéj powierzchnią.

Potém, jedne z nich wcisnęły się przez łodygę do kwiatu i błyszczały na jego kielichu, drugie z powietrzem weszły w ludzi, inne wędrowne przelatywały po ziemi, szukając schronienia i przytułku.

I rozeszły się daleko, kwiat w jednę, człowiek w drugą, a pył w trzecią stronę — dusza z niemi — poszła — poszła daleko po kawałeczku. Części jéj niepoznając się nawet, potrącały się w powietrzu, spotykały się w wodzie, w kamieniu, w roślinie, w zwierzęciu, przebiegały tysiące przemian, tysiące życia, śmierci tysiące — i żadna nie zginęła. Szły tylko wędrowne szukać coraz innego bytu, innych uczuć, innéj śmierci!

Obijały się nieraz o dom, w którym mieszkałem, o wody moje niegdyś ulubione, o drzewa, które sadziłem, a w które potem weszła część mnie samego.

I z jednego życia ludzkiego przeszedłem w tyle maleńkich, krótkich, jednostajnych, iż byłem rozerwany, jak serce dziewczyny w chwili, gdy chce kochać, i niewie, kogo ma obrać. Tułałem się wędrownik po słońcu, po gwiazdach, w piorunach i chmurach — a potém — — potém — —

wylano zimnéj wody wiadro na głowę i — wytrzeźwiłem się. To najprawdziwsza rzecz z całéj mojéj historyi.

Omelno d. 11. Sierpnia 1838. *J. J. Kraszewski.*

Rzadkie książki.

Tygodnik petersburski i Przyjaciel Ludu, pisma w swoim rodzaju bardzo dobre i nieraz ważne artykuły do literatury krajowéj zawierające, umieszczają czasami wiadomości bibliograficzne o rzadkich niby książkach polskich. W wyborze atoli artykułów w téj gałęzi literatury mniéj są szczęśliwe, przyjmując na dobrą wiarę nadsełane sobie artykuły o książkach bardzo pospolitych i często się nawijających, jako o nadzwyczajnych rzadkościach. I tak czytaliśmy niedawno w Tygodniku petersburskim artykuł, w którym autor znajome każdemu bibliografowi dzieło jedno polskie prawnicze, z wszelką akuratnością i drobiazgowością bibliograficzną na wszystkie strony obraca, typy i format mierzy, aż do najmniejszego kustosza opisuje i z całego gardła woła, że odkrył rzadkość, a do tego rzadkość niesłychaną, zapomniawszy, że rzadkość ta, równie jak każda inna rzecz, jest względną, że książka rzadka dla niego samego, może być najpospolitszą dla stu innych.

Teraz w numerach 61 i 62 Tygodnika petersburskiego pan Samuel Nowoszycki z Krzemieńca, wiedziony nader chwalebnemi pobudkami wsparcia usiłowań pana Zawadzkiego, wydającego powtórnie historyą literatury polskiéj Bentkowskiego, wyjechał z nowym artykułem bibliograficznym, w którym radzi Zawadzkiemu tonem poważnym, aby korzystał z pracowitych badań i odkryć Czackiego, Ossolińskiego, Juszyńskiego, Lelewela, Siarczyńskiego, Lindego, Aloizego Osińskiego, Bandtkiego, Chłędowskiego, Chromińskiego, Sołtykowicza, Sawińskiego, Bartoszewicza(?), Korniłowicza (?) i Lesława Łukaszewicza. (Tu p. Nowoszycki przepomniał dawniejszych, równie zasłużonych bibliografów naszych: Sandiusza, Węgierskiego, Olofa, Ringeltaubego, Lengnicha, Bocka, Janockiego, Załuskiego, Jabłonowskiego, Hoffmana, Hoppiusza i t. d., z których Bentkowski nie wszędzie i nie zawsze korzystał, a do których, gdyby pan Nowoszycki pisząc swój artykuł, niekiedy był zajrzał, ustrzegłby się był mnóstwa absurdów.) Nie jestże to to samo, co powiedzieć szewcowi: nim się do uszycia bótów zabierzesz, musisz mieć wpierw skórę, dratwy, szydła, kopyta i t. d.? Czyż pan Nowoszycki sądzi, że redaktor nowego wydania historyi literatury polskiéj Bentkowskiego niezna tych źródeł, które przecież nie są obcemi nawet leniwszym uczniom po szko-

łach krajowych? Po tak głębokiéj nauce danéj wydawcy historyi literatury polskiéj, przystępuje p. Nowoszycki do wyliczenia swoich rzadkości bibliograficznych i »z względu na dobro literatury, podaje następujące bibliograficzne dodatki, w mniemaniu, że je p. Zawadzki do swojego wydania wcielić nie omieszka.« Niech też czytelnik zgadnie, jakie to są te dodatki, te fenixy w drukarstwie, i bibliografii polskiéj. Zapewne jakie dzieła w polskim języku przed życiem Jezusa Chrystusa Baltazara Opecia? albo jakie nieznane druki polskie pińczowskie, szamotulskie, daubmanowskie? Broń Boże! jestto: postylla mniejsza Jakuba Wujka, wydana w Krakowie 1605*); jestto biblia polska tegoż, wydana w Wrocławiu 1740 roku; jestto Argenida Barklajusza; krótka annotacya sejmów Puławskiego; wielkie poselstwo Refała Leszczyńskiego; reguły *societatis Jesu* i t. d. Podsuwać wydawcy historyi literatury Bentkowskiego podobne rzadkości bibliograficzne, jestto to samo, co piszącemu zoologią, np. Jundziłłowi, przysłać swój opis dudka, chociażby też i z niektóremi odmianami, n. p. większym czubem. Zna on go tak dobrze, jak pierwszy owe mniemane fenixy bibliograficzne. Niemasz bowiem może pospolitszych książek między starożytnemi dziełami polskiemi jak jest biblia i postylla mniejsza Wujka w wszystkich swoich wydaniach; tak dalece, że najpospolitsza z dyssydenckich postyl, n. p. postylla Skulteta, lub Dambrowskiego, jest daleko od niéj rzadszą. Cóż dopiero mówić o postyllach Reja, Kmity, Seklucyana, Arzacyusza, Maleckiego, Kalksteina, Grzegorza z Żarnowca, Gilowskiego, Bytnera, Kraińskiego, Smalcyusza i t. d. W przytoczeniu za rzadkość Argenidy okazał p. Nowoszycki najgrubszą niewiadomość: lada żakowi wiadomo, że tłumaczem na język ojczysty Argenidy Barklajusza jest Wacław Potocki, nie Cezary; on o tem niewie. Pisma i szczegoły, które o Strubyczu, Mikołaju Arnoldzie i Mikołaju Kochanowskim przytacza, są oklepane. Źródło o Strubyczu wskazał mu wydawca Tygodnika w *acta borussica* redakcyi Lilienthala; o Arnoldzie znajduje się daleko lepsza wiadomość w Baylem, w Grosses Universal-Lexicon. Halle und Leipzig 1732. Tom. II. str. 1594, i w wielu innych encyklopedyach; ma nawet o nim Siarczyński. Boeckmanna dziełko o uczonych Mikołajach uważa p. Nowoszycki za bardzo ważne do literatury polskiéj; dla czego? oto, że Boeckmann wypisał dosłownie z Sandiusza (o czem p. Nowoszycki niewie) wiadomość o Mikołaju Sienickiem i Mikołaju Kochanowskim, że z Baylego wyjął o Arnoldzie. Pan Nowoszycki niema wyobrażenia o źródłach; u niego ujście, że tak powiem, jeszcze jest źródłem, a najpospolitsza książka niezmiernie rzadką. Kto tak mało jak on wiadomości bibliograficznych posiada, ten niech się nie narzuca na robotnika w ważnéj téj pracy, do któréj po tylu przez prawdziwie uczonych mężów dokonanych przysposobieniach trudno jest, bardzo trudno przydać co nowego. Wszakże mimo tego wiele książek polskich ukrywać się jeszcze może w odwiecznym pyle. Któż wie, czy traf szczęśliwy nie nadarzy panu Nowoszyckiemu odgrzebać istotnie jakiego fenixa? Dla tego, aby go tem łatwiéj poznał, podajemy mu niniejszą informacyą, jakie książki polskie za rzadkie uważać trzeba:

1. Druki polskie w języku ojczystym przed rokiem 1550.
2. Druki pinczowskie i rakowskie, opuszczone w Sandyuszu i Bocku.
3. Druki szamotulskie.
4. Druki pomniejsze Daubmanów i Wierzbięty, jakoto elementarze, książki do nabożeństwa, katechizmy, pisma polemiczne małéj objętości, paszkwile i inne ulotne pisma.
5. Takież same pisma wszystkich officyn polskich, przed r. 1560.
6. Kalendarze polskie z 16. i 17. wieku.
7. Wszelkie pisma dyssydenckie, opuszczone w Sandiuszu, Bocku, Węgierskim.
8. Pisma treści historycznéj, opuszczone w Hoppiuszu.
9. Pisma polskie z 16. i 17. wieku do rozrywki, jakoto: anekdoty pod rozmaitemi tytułami, komedye, dyalogi i t. d.
10. Pisma polskie technologiczne z tegoż czasu, jakoto: o łowiectwie, rybołostwie, pszczolnictwie, gorzelnictwie, konowalstwie i t. d.

Jeżeli p. Nowoszycki odkryje dzieło polskie, do którejkolwiek z tych 10 kategoryi należące, i jeżeli nie znajdzie wzmianki o niem w Bentkowskim i w bibliografach, z których w artykule swoim panu Zawadzkiemu korzystać radzi, natenczas może je »z względu na dobro literatury« w pismach publicznych za rzadkość ogłosić. Wiadomości zaś o Argenidach, postyllach mniejszych Wujka i t. p. niech zachowa dla siebie i niepowołany, niech cicho siedzi: bo i najlepsze chęci bez należytego usposobienia, piszącego na pośmiewisko wystawić mogą.

*) Szkoda, że p. Nowoszycki niemiał pod ręką wcześniejszéj edycyi z roku 1596 fol. w Krakowie u Piotrkowczyka, albo też późniejszéj edycyi téj postylli, *np.* z roku 1617; niechybnie dowiedzielibyśmy się byli o tych fenixach, tak jak o Argenidzie i t. d.

Korrespondencya.

Salzbrunn, dnia 3. Września 1838.

.... Jakże różny dziś Salzbrunn od tego, jaki zastałem był przed czterema tygodniami! Wszędzie ludno, pełno, ruch i wesołość, odgłosy muzyki, trzaski z biczów, turkoty powozów: to Salzbrunn ówczasowy. Spokojny, próżny, opuszczony, przewlokły długością, po części smutny, ponury, jak strumyk, co go przerzyna, jest Salzbrunn w porze obecnéj. Tydzień jeden taką zrobił różnicę, a powietrze wciąż nieprzyjaźne najgłówniejszą różnicy téj przyczyną. Zmiana ta ogółu, ważny na pojedyńcze osoby, na mnie samego, wpływ wywarła, mianowicie na sposób życia i zabawy. Przybywszy w godzinie poobiedniéj z Wrocławia do Salzbrunn, w czasie, gdzie świat cały, zdrowi i chorzy, w świętne przybrani szaty, jakby trąbą Anielską na Józefata dolinę, tak na promenady gromadnie się zebrali, jakże dziwnie czułem się usposobiony! Pełen radości i nadziei, kontent, że tylu gości zastałem, że tylu policzę towarzyszów kuracyi, zabawy i t. d., szybko z wozu skoczyłem, by biedz ku studni. Ale patrz, twarze obce, cierpiące, dziwne, głosy przytłumione, tęskne, uderzyły mię silnie — zagroziły, że tu się znudzę. — I znużony podróżą, niezaopatrzony w kubek, nie usposobiony do picia, stanąłem we drzwiach, by się fizyognomiom przyglądać. Bawiła mię ta pustota. Filozofowie i chłopki, generałowie i prości, katolicy i żydzi, starzy i młodzi, płeć piękna i męzka, wszystko to z wiarą podawało szklanki, a czworgo ludzi z małéj studzienki, czerpiąc, obficie wszystkim nalewali zdrowie. Wszyscy równi, wszyscy z jednego piją źródła: chcesz poznać, kto jest z nich jakikolwiek, patrz na szklankę, czyli z herbem lub znakiem niemieckim szlachectwa: to szlachcic — patrz na sposób picia, dowiesz się, do jakiéj go policzyć klassy: jeden szybko bez namysłu przewróci szklankę, wypiwszy stawia ją czémprędzéj, by spacerem co do joty przepisu dopełnić, wiara go uzdrowi, to syn natury; drugi odpoczywa po każdym łyku, zastanawia się nad częściami wody do składu wchodzącemi, uważa, jak w nim działa, jak płynie, jak trawi; czuje, jak walczy wewnątrz z chorobą, to mędrzec niemiecki, co ma **Bewustsein**; — inny łączy wiarę prostaczka z wiedzą mędrca, ale ostatniéj zapomina: to apostata mądrości niemieckiéj, co się z naturą przeprosił. Mój Boże, pomyślałem nieraz, jak wszyscy wznieśli nad przyrodzenie, jak wyżsi sztuką, jak uczeni teoryą — a wszyscy chorobą ściśnieni, rzucają się w objęcie matki natury, kiedy ich sztuka i teorja wyssała! Wody stały się teraz na wzór uniwersytetów. Salzbrunn należy obecnie do najwięcéj odwiedzanych. Zginęło przeto indiwiduum moje w téj massie ogromnéj; nikt mię nie widział, nikogom nie uderzył obcością twarzy, ledwo zwolna tu i owdzie się przypiąwszy, znajomszym się stałem. Jak wtedy żyłem, opisałem dawniéj. Dziś wszystko inaczéj: zginęły massy, każde indiwiduum występuje w swojém znaczeniu, każde znane, każde szukane nawet, do policzenia. Potrzeba stała się cnotą: pozostali trzymają się za ręce, wszyscyby radzi jedne stanowić całość. Kilka domów polskich tu pozostałych, z liczném towarzystwem, główną pozostałości część tworzą: my młodzi lubieni dosyć jesteśmy. Cały czas, ranny i wieczorny wydzierani prawie z jednego grona na spacerach do drugiego: panien młodych wiele, zabawa miła.

Nie wiem, czyli narody jakie, tak miejscem zbliżone, jak Śląsk i Czechy, więcéj, wyraźniéj różnić się mogą od siebie. Sama natura niezatarte piętna wcisnęła na ziemię nawet, na usposobienie klimatu, gruntu i ludu. Przebywającego grzbiet gór Śląskich, jakże czarująco ujmują te stopniowo wznoszące się i znów zstępujące góry, pogórki, raz łyse, drugi raz brodate, trawą naprzemian i lasem zarosłe, wszystkie przystępne prawie i temu, co ich wierzchołka sięgnął, śliczne, różnobarwne przedstawiające obrazy; a dokąd tylko noga ludzka i pracowitego bydlęcia wkraść się zdoła, uprawne, obsiane, różném ziarnem, różnym pomalowane kolorem, jak kołderka, którą dziecina z różnobarwnych zszywa płatków dla przystrojonéj lalki. Ledwo się zaś spuszczać zaczniesz ku granicom Czeskiéj ziemi, jakaż nagła zmiana, jakby ręką przewrócił! Dzika, okropna, smutna, skamieniała natura, próżna uprawy, pełna śladów ogromnych rewolucyi. Obiedwie krainy różnie swych usposobiły mieszkańców: Śląsk żyzny, piękny, wszędzie prawie przystępny, wlał ludowi swemu zapał do pracy, co go schyla do ziemi, wypręża, krzywi, w garby wysadza, tchem wytężoném gardła wypukłe czyni, tak, że wejrzawszy na biedne Ślązaczki, powiedzieć sobie musisz, iż albo taż sama natury siła, co ziemię w wypukłości wysadza, góry rodzi, taż sama na ciała Ślązaków działając, stroi ich w garby i wysokie gardła; albo zapuściwszy się okiem z wysokości po łanach, uprawnych górach i skałach, politujesz się pracy i biedy synów człowieczych. Czechy dzikie, okropności pełne, w kamieniste skały wyrosłe, podały Sławianinowi zamiast pługa i motyki, harfę w rękę, i dla tego ledwo do Adersbach dojedziesz, już cię witają tony miłe i tęskne, jak natura ziemi, jak charakter ludu, co ją zamieszkuje. Ztąd proza pracowita Śląska, ztąd biedna, tęskna poezja Czech; ztąd śląski protestantyzm jakby kordonem silnym przedzielony od katolicyzmu czeskiego. Porządnie zbudowane domy Ślązaka, opatrzone w godła różne, kramarzy i kupców po wsiach już zamieszkałych: to ozdoby téj ziemi, to jéj zalety, to objawienia rozumu; rozrzucone haty po ziemi czeskiéj, sterczące samotnie jak skały Adersbacha, różne strukturą i materją, ozdobne krzyżem Chrystusa i ampułką wody święconéj: to pamiątki poezyi średniowiecznéj, to znak ludu w natury kolebce wychowanego, to znamiona czującego więcéj niż rozumującego Sławianina. Zamiast konduktora, co strzeże mądrego Niemca od ognia niebieskiego, ujrzysz znamie zbawiciela lub obraz Maryi tuż przy drzwiach, albo figurę wsi wchodu strzegącą, co dostateczną pobożnemu ludowi jest rękojmią bezpieczeństwa od gniewu i piorunu Boga. Usługi barometru, termometru pełnią gwiazdy, ptaki, wiatry, czucie; usługi zegaru pełnią słońce, pracy miara, głód; wschód i zachód, południe i północ miarkujesz po oku słońca, lub po dachu, co suchy od strony światła, zarosły gdzie wilgoć wsiąka. Radbym **żył** w Śląsku — dumał, myślał, pisał w Czechach.

Zabaw publicznych mało za mego pobytu było w Salzbrunn: balik porządny dopiero jeden, w sobotę przeszłą, gdzie także byłem. Zgromadziły się familie wszystkie znaczniejsze, polskie i niemieckie; dobrze się bawiliśmy, tańczono dosyć, ja, ile mogłem. Nasz Polonez, jak zawsze i wszędzie, otworzył zabawę: tańczyli go przecież sami Niemcy, młodzi z młodemi Niemkami. Z nas żaden nie miał udziału, bo nie chcieliśmy razem z nimi podrzeźniać duchowi tańca, co tylko w ruchach poważnych Polaków i Polek bez profanacyi, bez ironii objawić się może. Czekaliśmy Mazura. Sześciu Polaków utworzyliśmy koło: każdy z innéj okolicy. Jeden rosły, silny, może nieco nieokrzesany, tańczył najiwie, nieuczenie, szorstko, wybijał piętami, krzywił się i chylił, rzucał w tę i owę stronę, bez sztuki; ale z czuciem, z ruchem Krakowianina: to Galicyanin. Drugi z pod Piotrkowa Trybunalskiego, wlókł nogi, rozszerzał i zbijał, na wzór Polaków w Berlinie bawiących — trochę niezgrabny. Trzeci, Warszawianin, delikatnie, i bez przysady, więcéj spacer odbywał, niż tańczył, taki ton w Stolicy; tak każdy oryginalnie, różnie, podług tego jak natura usposobiła, jak nauczył zwyczaj, jak moda każe: wszakże z ruchu wszystkich widać było, że Polacy, że żywość się malowała w powadze, życie w powolności, moc i składność w ciele. Niemcy wszyscy obstąpili koło i przypatrywali się z tym samym duszy zajęciem, z tém samém wrażeniem, z jakiém w Muzeum Berlińskiém przyglądają się cudownym dziełom starożytnych snycerzy i malarzy z wieków średnich! My działajmy, oni niech komentarze robią i uczone spostrzeżenia! — W ostatnich dniach, w miarę zmniejszającéj się gości liczby, rzadsze zabawy publiczne, niekiedy tylko małe zgromadzenia w celu gier, familijnych wieczorków, krótkiego tańca, ale za to prywatnych osób i familii tém ściślejsze zbliżenie się do siebie, tém poufalsza zabawa. Kobiety Polki w kilka osób tu bawiące, mające powozy do dyspozycyi, służą nam

temiż, służą wieczornemi zabawkami, my młodzi grzecznością się wypłacamy; na téj nikt podobno nie traci: ja tę maxymę doświadczeniem potwierdzam.

Ostatnich dni parę cieszymy się z jakiéjkolwiek pogody: każdą chwilkę taką skradamy, nim uleci. W ogóle, jak nadmieniłem, czasy nam nie sprzyjały. Otoż znudzony, rozgniewany, dnia jednego i deszczem i błotem, które mi się dla oddalonego nieco mieszkania dało czasem w znaki, rzuciłem pokój, by pod kolonadami pięknym niemieckim przyglądać się wyrobom i figlom. Wśród tych, patrzę, biblioteka z czytelnią! Może znajdę Homera, pomyślałem, na przekorę niepogodnym niebom, czytaniu się oddam. Biorę katalog, i szybko okiem przebiegając, trafiam — Lamartina! Jocelyn! Pamiętasz może, z jakiém uniesieniem w chorobliwym mym stanie, w Poznaniu jeszcze, czytałem tego poetę czucia, poetę Chrystyanizmu. Myśli jego i czucia tak wówczas trafiały do usposobienia méj duszy, co moralnego potrzebowała posiłku, tak chciwie chłonąłem oddech Lamartina, że rozstrojony mój umysł, serce niepokojone tęsknotą, bojaźnią, wzgardą życia, bolejąc i czując razem z tym poetą, utuliło się na czas pewien, ukołysało dzwięczném jego pieniem. I tak mi błogo było wówczas, że radbym był prawie, wyrzekając się wszystkiego, żył duszą Lamartina, czuł sercem jego, myślał jego myślą. Wszakże nie dosyć mocny na siłach, byłem może gotów z napoju podanego wyssać cząstki najsłabsze, odrzucić strawę najsilniejszą, najpożywniejszą: czułem, dumałem, drażniłem nerwy i serce tkliwemi rysy, ale minąłem się z celem, z życiem. Życie Wasze, Berlińskiéj młodzieży, wprowadziło mię nieco na drogę, i poznawać zacząłem, jak niebezpiecznym nawet być może Lamartin dla ludzi, co w podobnym do mnie znajdują się stanie. Ugłaska on dzikość, zaspokoi burzliwość, wleje balsam na serca zepsutość: kto życiem przepełniony, kogo prze tegoż życia siła, niechaj poda poecie rzeczonemu rękę, by go prowadził po zjawiskach natury, dał widzieć, czego oko zwyczajne nie dojrzy, by duszę jego podniósł z poziomości do majestatu Bóstwa. Ale serce i nerwy rozdrażnione osłabną z opojenia tym nektarem. I jam był osłabł. Ciekawości pełen porwałem więc Jocelyna! Karty nieporozrzynane! Wstrzymałem się. — Nikt więc jeszcze w Salzbrunn Lamartina nie czytał? jaż sam miałem duszę mą napoić tém, od czego inni widocznie stronili, przekładając nikczemne romanse, obdarte, znak, że wiele czytane! Pełen świeżości, chęci życia, chciwy zdrowia i siły duszy, bałem się sentymentów Lamartinowskich. Czytałem jednak. Cóż powiesz, że arkusz jeden i drugi przebiegłszy, jeszcze nie byłem pewien, czy to ten sam Lamartin, co tak był uśpił wówczas duszę moję. Uczucia po uczuciach, opisy po opisach, — toć Lamartin! On sam! Podobnoć poeta nie inny — ale inny czytelnik. Poeta równie czuły, posępny, moralny, tkliwy, głęboko okiem i duszą widzący, delikatną związany nicią z Bóstwem i naturą; alem ja dziś nieco mocniejszy, nie tak łatwo porwać się dający. Ztąd unosząc się często głębokością pojęć poety, subtelnością uczuć, czystością myśli, nie mogłem długo przecież znaleźć téj poezyi w Jocelynie, co to być miała Epopeą chrześciańską. Owszem, wciąż jak gdyby wstęp dopiero czytając, napotykając opisy jedne i drugie, i znów te same, myślałem, że nie opisy dla dzieła, ale dzieło złożone dla opisów, dla sentymentów poety. Dosyć też już tych uczuć i sentymentów, mój Panie Lamartin, pomyślałem. Wnet przecież doszedłem kłębka po nici. Pomysł poety mocno mię uderzył! Dopiero od miejsca, gdzie Pleban ów w mniemanym młodzieńcu kobietę odkrył, pojąłem myśl, plan, cel Lamartina, i wracając mu ubliżoną cześć, powinszowałem wielkości, wspaniałości zamiaru. Plan i zarys ogromny! godny chyba Lamartina: wszakże i tak nie powiedziałbym, że zupełnie zadanie to rozwiąże. Posiada Lamartin przymioty najpiękniejsze duszy i serca, talent wielki, nade wszystko uczucie głębokie, duszę przenikliwą, jakiéj potrzeba do przejęcia się duchem Chrystyanizmu; ale i on może więcéj duchem tym się **przejął**, nim go **pojął**, albo słuszniéj powiem: więcéj go pojął, nim go oddać zdoła. Szczupły, ograniczony był zakres życia Greków Homerowskich, życie więcéj instynktowe niż pojęte, więcéj naiwne niż myślane: otoż równie instynktową, równie naiwną, równie prostą mogła być poezja Homera. Maluje ona całkiém życie greckie. Pełność, wzniosłość, rozmaitość, głębokość nieprzejrzana, objętość nieobrachowana życia chrześciańskiego, jest to świat, którego poezja w pieśni dwanaście lub jeszcze raz tyle, pochwycić nie potrafi: ta poezja jest dziełem, do którego materjałów mało jeszcze nagromadzonych. Pojął Lamartin wielkość zamiaru swego, chwała mu za samo pojęcie! nazwał słusznie, skromnie dzieło swe Epizodą, bo rzeczywiście wyjątkiem jest tylko, małym bardzo ustępem z dzieła — wszech — chrześciańskiego, coby objęło ducha chrystyanyzmu w całym ogromie, spoiło wszystkie promienie naszego życia, w jedno ognisko, wystawiało pomnik chrześciaństwa. Że Lamartin pierwszy dzieło to pojął, rozpoczął, że w reszcie pismo swoje Epizodą tylko nazwał, to wysoko bardzo cenię, to w nim uwielbiam. Nie wiem, jak poeta wykończy dzieło swoje, jak wykona inne Epizody, jak wszystkim da całość, krągłość; ale to wiem, że każda z następnych Epizod poda nam obraz jednéj jakiéj strony życia chrześciańskiego, jak Eepizoda Jocelyna dotknęła najdelikatniejszych nerwów tego ciała, uderzyła w serce samo chrześcianina, ujmując w formę słów i poezyi **Ducha miłości chrześciańskiéj**, miłości, jako cnoty wyłącznie należnéj chrystyanizmowi, będącéj jego duszą, ogniskiem, ozdobą, miłości objawiącéj się w dwóch najwyraźniéj duszy usposobieniach: w uniesieniu ducha do Boga i jego miłowaniu — w czystéj miłości człowieka, jaka się reprezentuje w przyjaźni i małżeństwie. Duszą dzieła tego powiadam, jest **miłość chrześciańska**, obca starożytnym, nie instynktowa, nie przyrodzona, nie służka namiętności, nie skutek bojaźni Bóstwa lub skutek dążenia do dalszéj prokreacyi ludzkości — ale miłość czysta, czuła, pełna życia z Bogiem i dla Boga, pełna poświęcenia, bólu, cierpień, skromna, siebie za cel mająca, sobą zadowolniona — i znów drugiem ramieniem przyciskająca do serca połowę swoję, kobietę, nie z namiętnością wschodnią, ani wściekłością rozpustnika, ale z czuciem i uniesieniem, jakiego zdolna dusza czysta, dusza chrześciańska, dusza, co mogła pokochać tąż samą miłością młodzieńca, z jaką, poznawszy w nim kobietę, kobietę pokochała. Śliczny ¡wymysł Lamartina: aby pozoru nawet nie dać namiętności, aby czystość miłości chrześciańskiéj ku dziewicy skreślić, wlał w serce Plebana toż gwałtowne przywiązanie do młodzieńca, jakie po poznaniu go w czystą płci pięknéj zamieniło się miłość. Uchwycił poeta stósunki życia naszego, w jakich miłość Boga i ludzi najwyraźniéj piętnować się dała; dla tego wyjął z ogromnego zakresu chrześciaństwa osobę duchowną, poprowadził ją przez wszystkie kryjówki, ścieżki tegoż życia chrześciańskiego, moralnego naszego bytu: ztąd te opisy, ustępy, ztąd te myśli o naturze, Bogu, świecie, familii, małżeństwie, piękności — o obrzędach religijnych, spowiedzi, pogrzebach, o wszystkiém, co charakteryzuje ducha chrystyanizmu. Może jednak zbyt cicha muza Lamartina, zbyt ciche, posępne życie chrześciańskie, zbyt szupły zakres jego. Aleć to tylko Epizoda. — I ja Epizodę moję kończę, bo poczta odchodzi, a i tak już 2 dni list ten niedokończony leżał.

H. C.

Uw. Winniśmy tu nadmienić, iż młody pięknych nadziei autor tego listu, pisał go tylko do swego przyjaciela, nie wiedząc wcale, iż zostanie drukowanym.

Red.

☞ Przy końcu półrocza uprasza się szanownych prenumeratorów, którzy w półrocznéj racie złożyli prenumeratę, o wczesne złożenie przedpłaty na przyszłe półrocze na kr. pocztamtach. W przeciwnym razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*